

Efekt irytacji

Jerzy Sosnowski
Instalacja Idziego
 Wydawnictwo Literackie
 Kraków 2009

Jerzy Sosnowski jest pisarzem, który bardzo starannie planuje swoje pisarstwo. W jednym z udzielonych wywiadów autor „Apokryfu Agłai” zwierzył się, że swoje książki postrzega jako swoiste „listy z podróży”, które można czytać po kolei, jako coś w rodzaju powieści w odcinkach. I rzeczywiście, warszawski pisarz na rozmaite sposoby porusza wciąż te same tematy. Dzieli się swoimi lękami i niepokojami, a w tekstach próbuje zajrzeć pod poszewkę rzeczywistości. Jak słusznie onegdaj zauważyła Kinga Dunin, wraz z pojawieniem się na rynku literackim „Wielościanu”, za który notabene Sosnowski dostał Nagrodę Kościelskich, oto w naszym kraju pojawił się pisarz religijny. Warszawski prozaik nie ucieka od przyklejonej mu przez krytyczkę gęby, wręcz przeciwnie – każda kolejna książka autora „Linii nocnej” jest wręcz jej potwierdzeniem. Teksty Sosnowskiego najlepiej jest zatem otwierać kluczem metafizyczno-religijnym, przy czym pojęcie religii rozumiane jest w tej twórczości raczej jako doświadczenie dziwności świata, poczucie, że jesteśmy jedynie gośćmi, którzy wyruszają na poszukiwanie prawdziwej ojczyzny, czy raczej próbują odnaleźć tę „drugą przestrzeń”. Sosnowski chce zatem nawiązać dialog z czytelnikiem, ale ma to być dialog, w którym spotkają się ze sobą emocje, bo tylko

literatura „pisana krwią” może podejmować próby poradzenia sobie z trudną rzeczywistością. Dla warszawskiego prozaika emocje są podstawą i najczęściej z silnych uczuć rodzą się kolejne publikacje. Tak też było z najnowszą powieścią pod tytułem „Instalacja Idziego”. Napisałem ją z... irytacji – informuje Sosnowski na swoim blogu. Irytacja zrodziła się z obserwacji tego, co dzieje się w naszych czasach z religią. Dalej pisarz wyjaśnia: Chodzi raczej o to, że – według budzących moje zaufanie teorii kultury – religia stanowi centralny element, zwornik każdego systemu kulturowego. Ale pod warunkiem, że się nie zapomina o jej istocie, a tą jest (jak uczył Rudolf Otto, Max Scheler czy, z innej drużyny, Carl Gustav Jung) doświadczenie sacrum.

Sosnowskiego denerwuje, że w naszych czasach traktujemy religię instrumentalnie, „używamy” jej w politycznych rozgrywkach do pozyskania sojuszników albo też traktujemy jako „psychiczną poduszkę”, by się lepiej umościć w świecie. W swej powieści daje więc upust złości.

Historia, jak to u Sosnowskiego zazwyczaj bywa, jest świetnie skonstruowana. Czytelnicy znający już tę twórczość poczują się jak w domu. Filozoficzne dysputy, moralne rozterki, bohaterowie, których znamy z poprzednich powieści, nieśmiertelny Andrzej Walczak, pojawiający się w każdej książce i będący alter ego samego autora (w „Instalacji Idziego” dowiemy się, dlaczego porzucił rzemiosło literackie, by zająć się inną dziedziną sztuki – czyżby to była ukryta sugestia?), dbałość o topograficzne szczegóły, nawiązywanie do zdarzeń spoza rzeczywistości tekstowej, wprowadzenie elementów tajemnicy i przede wszystkim zabawy intertekstualne – to wszystko charakteryzuje najnowszą powieść, ale też całe pisarstwo autora „Tak To Ten”. Należy więc zadać sobie pytanie: czy warto sięgać po „Instalację Idziego”, skoro niczego nowego tam +

nie znajdziemy? Tak, warto. Chociażby dlatego, że jest to naprawdę rzetelnie i z konceptem napisana powieść. Sosnowski dobrze wie, jak utrzymać uwagę czytelnika, wie, w którym momencie zawiesić akcję i płynnie przejść do następnego wątku. Nie ulega wątpliwości, że łaska dobrego rzemieślnika przywarła do Sosnowskiego na dobre.

Warszawa. Rok 2004 – w Polsce okres szczególnie ze względu na przystąpienie naszego kraju do Unii Europejskiej. Oto poznajemy Waldka Wilkowskiego – 40-letniego mężczyznę, dziennikarza pracującego w prywatnej telewizji TTT, znanej nam już z „Prądu zatokowego” (w powieści pojawia się inny dziennikarz – Antek Ratajczyk, również jedna z postaci występujących w „Prądzie zatokowym”). Sosnowski ukazuje kulisy medialnego biznesu. Czytelnik staje się świadkiem walki o stołki, walki, która wykorzystuje najbardziej perfidne środki – każdy ma na każdego haka. Śledzimy losy prezesa Góralczyka oskarżonego o pedofilię, poznajemy historię jego syna podejrzanego o machlojki w firmie zajmującej się nieruchomościami oraz dowiadujemy się, że wiceprezes Rudek nie może być dumny ze swej przeszłości – dlaczego? Ciekawskich odsyłam do powieści, nie chcę bowiem odbierać całej przyjemności śledzenia intrygującej, napisanej w konwencji najlepszego thrillera fabuły.

Środowisko medialne w powieści jest czarnym charakterem. Sosnowski zarzuca mediom, że zatraciły swoją najważniejszą funkcję: zamiast przekazywać ludziom rzetelne informacje, w natłoku afer, skandali i faktów – media eksponują tylko przypadki ekstremalne, nieistotne, te najbardziej spektakularne, które zapewnią wyższą oglądalność. A gdzie leży prawda? Sosnowski oskarża środki masowego przekazu przede wszystkim o szerzenie dezinformacji. Kreując kalejdoskopowy ciąg dziwów, w którym nikt

nie będzie w stanie doszukać się jakiegokolwiek ładu, media przyczyniają się do rozmywania przyrodzonego porządku moralnego.

Powróćmy do Wilkowskiego – pewnego dnia odzywa się do naszego bohatera miłość z czasów licealnych i na spotkaniu oświadcza mu, że ma z nim 20-letniego już syna – Idziego. I zaczynają się komplikacje. Idzi tymczasowo ma zamieszkać z ojcem, co nie podoba się żonie Waldka. Idzi Janik jest jednak bardzo oryginalnym chłopcem. Gdy Wilkowski zobaczył go po raz pierwszy, biła od niego światłość niczym od anioła. Poza tym Idzi ma dar cudownego uzdrawiania, a w jego towarzystwie ludzie zaczynają się dziwnie zachowywać. Chłopak posiada bowiem charyzmę, która sprawia, że każdy, kto się z nim zetknie, od razu powierza mu swoje sekrety, rozterki i najgłębiej ukrywane myśli. Sosnowski stworzył więc postać współczesnego świętego, który do złudzenia przypomina księcia Myszkina z „Idioty” Dostojewskiego. Idzi cierpi na stergofilię, czyli nałogową miłość do drugiego człowieka. Bohater chciałby wszystkich uszczęśliwić i jest chory, jeżeli mu się to nie udaje. Jego dziecięca ufność i potrzeba niesienia pomocy bliźnim są bez skrępowań wykorzystywane. Autor „Ach” bezlitośnie bawi się tą postacią, wprawiając przy tym czytelnika w stan konsternacji. Nie jest to, oczywiście, złośliwa gra, ale budzi współczucie i niekiedy niesmak, choć widać w tym dystans i wysublimowaną ironię. I tak jest w przypadku każdego z bohaterów. Sosnowski stwarza pełnokrwiste postaci, ale traktuje je z przywrżeniem oka. To może zachwycać, to może wciągać, gdyby nie fakt, że to już było. Czytając „Instalację Idziego”, mamy wrażenie, że obcujemy z inkarnacjami bohaterów z wcześniejszych powieści. Już sam rozwój duchowy Wilkowskiego przypomina historię Jeza z „Wielościąnu” (oba bohaterowie w dzieciństwie byli mocno zaangażowani w życie Kościoła, później nastąpił kryzys wiary, a z czasem powrót na tony katoli-

cyzmu, ale już z dystansem i wątpliwościami). Z kolei filozof Jacek Czepiec wydaje się lustrzanym odbiciem profesora Władysława Tarnowskiego. I jeden, i drugi mężczyzna są idealistami, wierzącymi, że życie według prostych zasad moralnych to podstawowa wartość, która jest istotą relacji międzyludzkich.

Idzi jest jak Jezus – ma dar uzdrawiania. Gdy ludzie dowiadują się o tym, ruszają pielgrzymki do domku na działce. Bohater nie zawsze jednak potrafi uleczyć, a wtedy już nie traktuje się go jak świętego. Sosnowski w „Instalacji Idziego” daje upust swej irytacji – wytyka Polakom tendencję do mitologizowania i popadania w płytki dewocjonizm. To jest jedna strona katolicyzmu, a raczej pseudokatolicyzmu polskiego – ślepe i bezmyślne podążanie za sensacją. Ale jest też ksiądz Cabaj – duchowny, który sam przeżywa moralne rozterki, ale w powieści prezentuje model nowoczesnego chrześcijanina. To właśnie on staje się przewodnikiem duchowym Waldka.

Wątków w „Instalacji Idziego” jest wiele, nie czas tu i miejsce, by wszystkie przytoczyć. Jedno jest pewne: Sosnowski niczym nowym nas nie zaskakuje – nie wykonuje żadnego kroku w przód w swej pisarskiej karierze, ale się też nie cofa. Pozostaje w tym samym miejscu, ale jest to miejsce, w którym powstaje proza zasługująca na uwagę.

Magdalena Wołowicz

O nas samych

Mariusz Szczygiel
20 lat nowej Polski w reportażach według Mariusza Szczygła
 Wydawnictwo Czarne
 Wołowiec 2009

We wstępie do tego obszernego zbioru Mariusz Szczygiel zaznacza, że jest to wybór bardzo subiektywny. Moim zdaniem, nawet za bardzo. Jeśli ktoś nie miał styczności z polską szkołą reportażu, będzie myślał, że gatunek ten pojawia się w polskiej prasie jedynie w dodatku „Gazety Wyborczej” i „Polityce” (mamy tu artykuły tylko z tych pism). Nie trzeba być znawcą gatunku, aby wiedzieć, że dobre reportaże pojawiają się również w prasie regionalnej czy w innych tygodnikach społecznych. Nie uda się również Szczygłowi uniknąć zarzutów w kwestii wyboru konkretnych tekstów. O ile zebrał przysłowiową śmietankę polskiego reportażu (od uczniów Krall po dwudziestoparolatków), to należy postawić pytanie, dlaczego właśnie te teksty ich reprezentują? Dwa reportaże Tochmana, jeden zaś Hugo-Badera, i dlaczego to nie „Chłopcy z motylkami” (głośny tekst o młodocianych przestępcach, za który dostał Grand Press), ale „Pluton” (opowiadający o procesie i życiu prywatnym członków oddziału ZOMO, którzy odpowiedzialni byli za +